

— To pani jest matka pana Włodzimierza? — zapytała wdzięcznym głosem nieznajoma, spoglądając uważnie na staruszkę — proszę, niechże mnie pani z łaski swojej zaprowadzi do niego.

Gdy nieznajoma weszła do pokoju, w którym był młody detektyw, zrzuciła woalkę z czapeczki, a Włodzimierz poznał w niej odrazu Konstancję Jaroszynową. Szybko więc położył palec na ustach, dając jej znak, aby przy matce nic nie mówiła i przywitał się bardzo uprzejmie.

Konstancja zrozumiała widocznie o co Włodzimierzowi chodzi, bo podając mu rękę, odezwała się z całą swobodą:

— Daruje pan, że go tak nachodzę, ale mam mały prywatny interesik, w którym chciałam zasięgnąć pańskiej rady.

Włodzimierz przysunął jej fotelik i zwrócił się do matki:

— Zostaw nas samych matusiu — rzekł, całując w rękę staruszkę — panią mogłaby twa obecność może krępować!...

Pani Bohdan opuściła pokój, a Konstancja Jaroszynowa odezwała się półgłosem:

— Czy nikt nas nie podsłuchuje?

— O, o to pani może być spokojną! — uśmiechnął się Włodzimierz — w tym domku mieszkam tylko ja i matka, a pokojówki, jak pani, nie mamy. Ja jestem tutaj, matka w kuchni przyrządza obiad, więc możemy mówić zupełnie bezpiecznie. Jedno tylko! Niech pani przed matką nie wspomina o moim rzeczywistym zawodzie; biedna staruszka nie miałaby ani jednej chwili swobodnej, gdyby wiedziała, na jakie niebezpieczeństwa jestem narażony...

— Pan musisz bardzo kochać swoją matkę! — szepnęła Konstancja.

— Jak matkę! — odpowiedział z prostotą Włodzimierz.

— Powróciłeś pan znowu — odezwała się po chwili Jaroszynowa — czy trafił pan na ślad jaki?

— Niestety! wszelkie moje usiłowania dotychczas były bez skutku!...

— Pańscy koledzy nie mogą się także niczem pochwalić, ale ja spodziewałam się, że oni nic nie znajdą i całą nadzieję pokładałam tylko w panu!...

Włodzimierz zacisnął pięści.

— Pierwszy raz spotyka mnie takie niepowodzenie! — mruknął chmurno.

— Dlaczego pan zaraz po powrocie nie przyszedł mi o tem zawiadomić?

— Nie mogłem! Chciałem się sam wprzód uspokoić, zebrać myśli, bo przecież to może do wściekłości doprowadzić człowieka, jeśli się jest przekonany o spełnieniu zbrodni, a nawet śladów jej znaleźć nie można. Dwunastu ludzi szuka, tropi, węszy i napróżno, bo zbrodniarze umieją się ukryć i drwią sobie ze sprawiedliwości!...

— I to ma mnie może uspokoić?!... — krzyknęła Konstancja Jaroszynowa — o! niech pan tego odemnie nie żąda! Cały mój majątek poświęcę, ale muszę odkryć morderców mego męża, muszę zwłoki jego złożyć w poświęconej ziemi!...

Młody detektyw wzruszył ramionami.

— Robiłem, co tylko mogłem! niczego nie zaniedbałem, nic sobie nie mam do wyrzucenia! A że moje usiłowania były próżne...

— To podejmiesz pan pracę na nowo! — przerwała mu szorstko Konstancja.

Włodzimierz spojrzał na nią badawczym wzrokiem.

— Ciekawym tylko — szepnął — gdzie mam teraz zwrócić moje poszukiwania... Całą okolicę Granowską przeszukałem, jak swoją kieszeń!...

— Czy byłś pan dzisiaj u policmajstra?

— Nie! — rzekł chmurnie detektyw — jestem teraz w niełasce i zapewne będę zmuszony wziąć dłuższy urlop.

— Więc weź pan zaraz ten urlop! Wolny czas poświęć mojej sprawie, a ja już będę o tem pamiętać, żeby pańska matka nie zaznała tymczasem biedy!...

— Ba! gdybym to przynajmniej wiedział, gdzie mam się teraz zwrócić?...

Konstancja Jaroszynowa wyjęła z torebki jakiś list i podała go Włodzimierzowi.

— List od mego brata z Odesy. Przypadkowo udało mu się wykryć, dokąd Borys Jaroszyn miał wyruszyć z Granowską...

Włodzimierz wziął list i zaczął go czytać. Nagle jakiś dziwny blask zajaśniał w jego źrenicach. Konstancja, która bacznie mu się przypatrywała, zauważyła to w tej chwili.

— Czy pan szukałeś w tych stronach? — zapytała nerwowo.

— Tak! — szepnął Włodzimierz — ale może trochę za powierzchownie! Nie myślałem bowiem nigdy, żeby Borys Jaroszyn miał jakiś interes w tej okolicy...

— I ja nie przypuszczałam tego, a jednak tak jest! Schowaj pan sobie ten list i ułóż nowy plan. Czy masz pan fotografię Borysa?

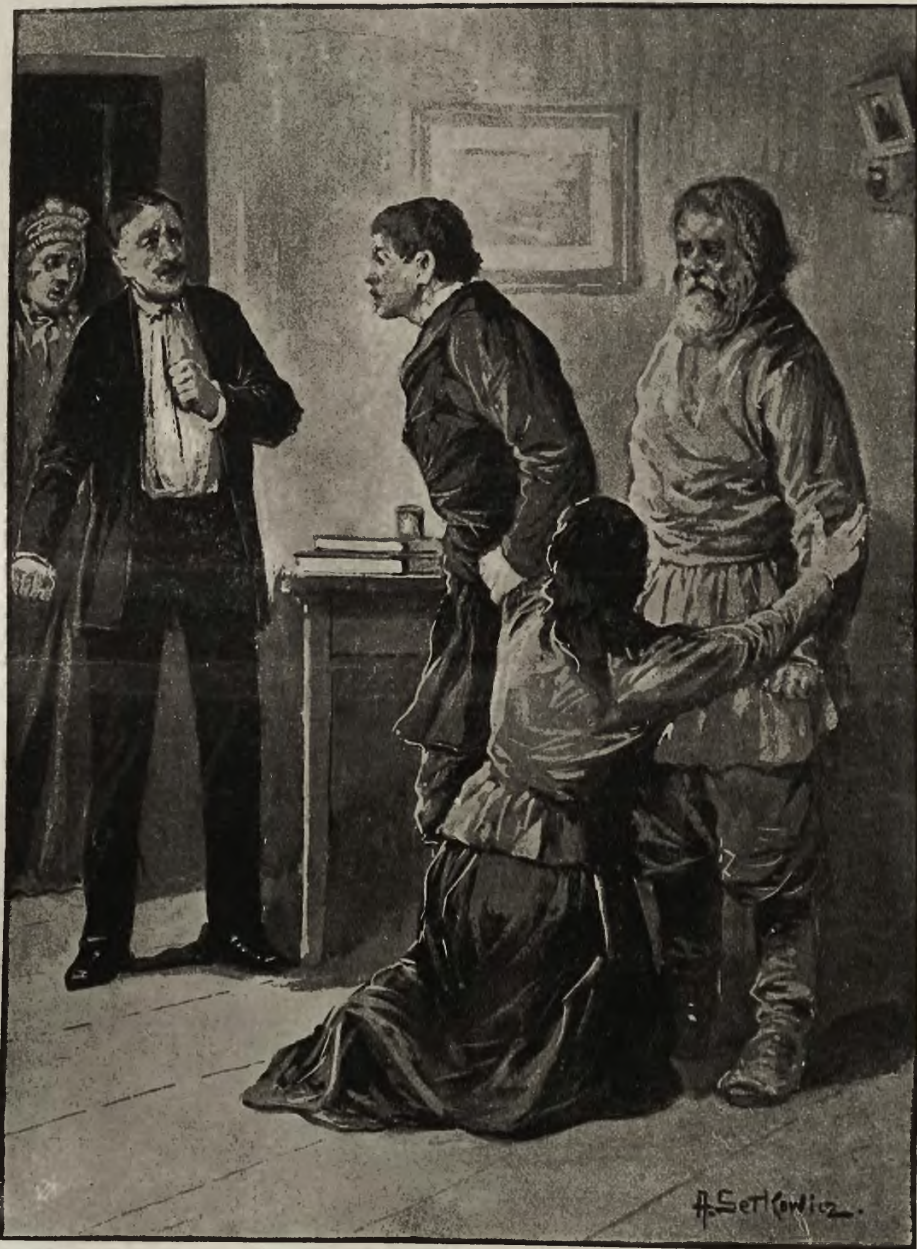
— Nie! — odpowiedział detektyw.

— Przywiozłam ją więc panu! — i to rzekłszy Konstancja Jaroszynowa położyła przed Włodzimierzem dużą, znakomicie wykonaną fotografię swego męża.

Fotografia przedstawiała mężczyznę w sile wieku, z twarzą otwartą, ocienioną dużą, czarną brodą. W oczach jego malował się spryt i odwaga, a atletyczna postawa pozwalała przypuszczać, że bezkarnie nie dałby on sobie nigdy odebrać życia. Morderstwo na nim musiano popełnić tylko podczas snu.

Myśl ta od razu zrodziła się w głowie Włodzimierza.

— Dziękuję pani! — rzekł, schylając lekko



Dość tego! — huknął wreszcie zniecierpliwiony parobczak...

głową — jeśli pani żąda, abym rozpoczął znów poszukiwania, to jestem gotów!...

Konstancja Jaroszynowa podniosła się z foteliku.

— Rzecz więc załatwiona! Kiedy pan wyjeżdżasz ze stolicy?

— Jutro, równo ze świtem!

— Zgoda.

To rzekłszy, pani Jaroszynowa dobyte z torebki paczkę banknotów i położyła je na stole przed Włodzimierzem.

— Panie Włodzimierzu! — rzekła z prośbą w głosie — wiem, że tego rodzaju poszukiwania połączone są ze znacznymi wydatkami! Całymi dniami możesz potrzebować koni, może będziesz musiał wynajmować ludzi... Weź więc te trzy tysiące rubli i nie oszczędzaj się wcale! Pamiętaj tylko o tem, że masz odkryć bądź co bądź morderców Borysa Jaroszyna i grób jego.

Włodzimierz schował banknoty do kieszeni.

— Może pani być spokojną! Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, ale jeśli i tym razem mi się nie uda, musisz pani dać za wygraną i czekać spokojnie, aż czas lub przypadek odkryją mordercę!...

Konstancja milcząco podała rękę młodemu detektwowi i już zabierała się do wyjścia, gdy w tem, jakby przypomniał sobie coś sobie, stanęła i spojrzała na Włodzimierza.

— Jeszcze coś chciałam panu powiedzieć... to ciekawe... choć głupie... ale w każdym razie, to już coś niewytłumaczonego... Teraz, gdy przejeżdżam ulicą, wpatruję się mimowoli w każdą obcą twarz... W każdym obcym podejrzewam mordercę mego męża... Wiem, że to głupie, a jednak nie mogę pozbyć się tej dziwacznej manii...

Włodzimierz spojrzał badawczo w jej źrenice.

— To nie jest nic dziwnego, proszę pani! — odrzekł z wolna — z czasem to samo przejdzie! I ja w początkach mej służby cierpiałem na to!

— Posłuchaj pan dalej — zaczęła nerwowo Konstancja — dziś, kiedy właśnie jechałam do pana, na placu św. Michała spotkałam sanki, w których siedziało trzy osoby, dziewczyna i dwóch mężczyzn. Na dziewczynę nie zwróciłam uwagi, ale mężczyznom przypatrzyłam się dobrze. Obaj byli ubrani w podniszczone kożuchy i baranie cza-
py. Starszy z nich, z siwiejącą, pomierzwi-
oną brodą, spoglądał błędnie na przechodni-
ów. Młodszy, ru-
dawy, z wyrazem pie-
kielnej złości w bu-
rych o czach, spojrzał na mnie... Zadrżałam!...

Konstancja Jaroszynowa umilkła i spojrzała na Włodzimierza.

— I co dalej?

— To śmieszne... to głupie... sama wiem o tem, a jednak... w tej chwili byłabym przysięgła, że... że to morderca mego męża patrzy na mnie!... Doprawdy, ja spokoju póty nie zaznam, póki zgon Borysa Jaroszyna będzie otaczać tajemnica!... Do widzenia!

Włodzimierz odprowadził Konstancję Jaroszynową aż do sanek i powrócił do swej izdebki.

— Zaczynamy więc grę na nowo! — pomyślał — to ciekawe! A ciekawsze jeszcze spotkanie Jaroszynowej z Lubaszem i Iwanem! Chociaż... chociaż... jak ja mogę brać w rachubę podrażnione nerwy kobiece? Ten Iwan ma bardzo podejrzany wygląd, więc nic dziwnego, że na jego widok Jaroszynowa wzdrygnęła się, ale to mnie nie uprawnia jeszcze do żadnych podejrzeń!...

Przy obiedzie Włodzimierz milczał i dopiero, gdy matka podała mu herbatę, odezwał się półgłosem:

— Matusi! ja jutro ze świtem wyjeżdżam w interesach!...

— Znowu narażasz się na coś niebezpiecznego mój synku!...

— Nie jestem dzieciakiem matko, więc możesz być o mnie spokojną! — odparł Włodzimierz, całując czule ręce matki — gram! gram wysoką stawkę, ale pewny jestem, że muszę ją wygrać, lub!...

— Lub co, co mój synku? — zapytała pani Bohdan niespokojnie.

— E! nic, nic mateńko! — szepnął młody detektyw — nic, lub... przegram i koniec!...

Jakoż na drugi dzień, skoro świt, Włodzimierz był już w drodze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

